



# W imię Boże

DWUTYGODNIK RELIGIJNY 2 KORPUSU

ROK III. (Ser. C)

Wtorek, 1 luty 1946

Nr. 3 (36)

...To, co się dzieje za żelazną kurtyną we wschodniej i południowo-wschodniej Europie, jest całkowitym zaprzeczeniem tych wielkich ideałów, które zagrzewały nas do walki, aby ocalić świat przed totalitarną agresją.  
(Z Listu Pasterskiego biskupów amerykań.)

## O OFENSYWĘ KATOLICYZMU

W mgławicy europejskiej odbywa się obecnie ogromna rozgrywka. Od czasu do czasu wybucha ona jasnym płomieniem zapalnych zagadnień, by znowu przygaszona wilgocią papierowych porozumień — pozornie — niknąć. To toczy się walka o Europę w pierwszej rundzie, a o świat cały w drugiej. Prowadzi ją komunizm — narzędzie rosyjskiego imperializmu. W rozgrywce tej używa doskonałych metod, doskonałej taktyki maskującej się zależnie od chwili i potrzeb coraz to innymi hasłami. Właśnie dziś bojownicy największego totalizmu, godnego następcy czarnego i brunatnego — w imię nadużywanego słowa „demokracja” rozprawiają się z otumanionymi narodami Zachodu, które demokrację prawdziwą ukształtowały.

Chwył taktyczny dość jasny do rozszyfrowania. Jest on dalszym ciągiem tej taktyki, która polecała agentom komunistycznym we Włoszech podejmować tezy narodowe — w samej zasadzie sprzeczne z założeniami sowietyzmu. Jest to na innym odcinku walki moralnej — maskowanie się pod zasadami chrześcijańskiej rodziny.

Ale działo się to niezbyt jeszcze dawno, we Włoszech odległych od centrum komunistycznego i bezpośredniego naporu imperialnych sił Wschodnich. Natomiast już zupełnie inaczej jest w Polsce, gdzie taktyka jest jeszcze jaśniejsza. Na ziemiach wschodnich, inkorporowanych do Związku Radzieckiego, walka odbywa się brutalna, jawna, tak jak tylko Rosja toczyć umie. Poruszył to Ojciec św. w Swęj ostatniej Encyklice. Na ziemiach jeszcze niewcielonych do Związku Radzieckiego, a tylko wchodzących w charakterze satelitów w Związek Radziecki — walka jest mniej otwarta. W okresie obecnej „pieredyski” sięga i kruszy fundamenty narodowe od strony moralnej. Nie zamyka kościołów, ale uniemożliwia swobodę poruszeń Jego, nie wsadza jeszcze kleru do czołówki koncentracyjnych, ale atakuje nieustannie zarzucając faszyzm, a Ojca św. przedstawiając jako narzędzie w rękach hitlerizmu.

Taktyka więc jest zmienna zależnie od czasu i miejsca. Ale staje się ona coraz jawniejsza. Idą uderzenia w największy autorytet świata, w Papieża. Zohydzić, przedstawić jako faszystę, ściągnąć w brud rozgrywek najniższych — oto cel. Przyczyna jedna — Papież wraz z Kościołem nie chce się podporządkować dyktaturze komunistycznej. Po zdobyciach terytorialnych — sowietyzm szuka następnym, rozszerza terror ciała i ducha. Tumani Zachód, hipnotyzuje i szantażuje. Taktyka jest coraz jaśniejsza. Już oni decydują, co to jest demokracja, kto jest demokratą. Już oni sięgają po najwyższy autorytet moralny świata, choć tak jeszcze niedawno komunizm włoski głosił hasła... moralności rodziny chrześcijańskiej.

Sowietyzm odstawia swoje cele, gra coraz otwartej, brutalnie. Prowadzi walkę nieubłaganą o objęcie gruzów europejskich, wśród których chce doprowadzić do gruzów moralnych. Wszystko, to co na przeszłość — jest wrogiem, a przede wszystkim Kościół. Toczy więc walkę z religią. Sowietyzm poprawia już Lenina, który uważał, że należy zniszczyć gospodarkę kapitalistyczną, a religia sama zginie. Nie ginie i dlatego, równoległe zresztą do ogólnej taktyki komunizmu — idzie walka ostateczna, skrajna, rewolucyjna.

W tej decydującej chwili, kiedy komunizmowi wydaje się, że nadszedł czas otwartej walki z Kościołem — katolicyzm musi być katolicyzmem czynnym, katolicyzmem wojującym, katolicyzmem postępu. Nakazuje to tradycja moralna i nakazują zadania i cele chwili. Skupić musi wszystkie swoje siły, rzucić musi hasła najszybsze, przypomnieć światu moc nie tylko Ducha, ale i licznych szeregów na ziemi, szeregów w których Polska zajmuje czołowe miejsce. Wzmocnić więzy między narodowe katolicyzmu, unowocześnić metody, zementować szeregi, powołać do czynu Akcję Katolicką, Przejść do ofensywy właśnie teraz, kiedy Zachód jest w defensywie. Podjąć walkę, która musi dać najwspanialszy rozwój chrześcijaństwa. (S.M.)

## Na straży chrześcijańskiej Ojczyzny

„Nasz stary Kraków dwa razy już w tej wojnie był w bliskim niebezpieczeństwie, ale Bóg go uchronił, czy nie na to, by jak w ciągu wieków, tak i teraz był sercem krwią spływającej, pożoga zniszczonej Polski. Musi on ją całą przygarnąć, otoczyć opieką, za wszystkich, którym to dziś niemożliwe przemówić”.

Czytamy te słowa w odezwie wydanej lat temu trzydzieści jeden, bo 25 grudnia 1914 r. w chwili założenia Książecko-Biskupiego Komitetu Pomocy dla dotkniętych klęską wojny. Odezwę nosi podpis: ADAM STEFAN SAPIEHA, KSIĄŻE BISKUP KRAKOWSKI.

Młody wówczas 47 letni Książe Kościoła, od trzech lat dopiero był gospodarzem katedry wawelskiej, gdy pożoga pierwszej wojny światowej przyniosła Polsce zniszczenie a wielkim rzeszom Polaków głód i niedostatek.

W tej drugiej, o tyle straszniejszej wojnie odegrał Metropolita Krakowski rolę jeszcze większą niż przed ćwierćwiekiem, rolę przywódcy moralnego. Stał się symbolem godności narodowej. Nietylko na czele kleru, lecz na czele społeczeństwa, w samej stolicy Generalnego Gubernatorstwa wytrwał On przez te długie, piekielne lata na posterunku, jak żołnierz nieustraszony, i jak wódz roztropny, każdej chwili gotowy do poświęcenia siebie za te wartości i za tych ludzi, za których się czuł odpowiedzialny. Trwał tam, otoczony śmiercią. Ginęli jedni po drugich księża Jego djeceji, ginęli najbliżsi krwią. Pięciu synów i wnuków Jego brata poiegło, — dwóch oficerów Armii Krajowej, dwóch żołnierzy oraz młodzieńca Róża Sapieżanka, która zginęła w powstaniu warszawskim. Im więcej było tych śmierci, im cięższe nastawały czasy, tym intensywniej była siła, która od Metropolity szła ku społeczeństwu.

Jednym z głównych źródeł potężnego czaru, jaki wywiera ta osobistość na wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli z nią styczność. Reakcja, szczególnie w odniesieniu do cierpienia, jest zawsze natchmiastowa, tyle lat pracy społecznej i organizacyjnej nie potrafiło oziębic tego najbardziej prawdziwego miłosierdzia, płynącego nie z zasad ani z teorii, tylko z najgłębszych źródeł chrześcijaństwa z Miłości jedynie. Umiejętność obcowania z ludźmi wszelkiego rodzaju, to talent wrodzony, jeszcze jeden dar Boży, który w dużym stopniu posiada Metropolita. Talent ten oczywiście znowu płynie z serca, z życzliwości naturalnej, ale też i z szczerości i z prostoty zupełnej, z którą do każdego podchodzi. Duża doza humoru i niesłychanie świeża, młodzieńcza wesołość, daje Mu wielką łatwość w obcowaniu z młodymi.



J. E. Ks. Adam Stefan Sapieha, Arcybiskup Krakowski,

Dziś, w obliczu bezmiar cierpienia Narodu w drugiej wojnie, bledną w pamięci naszej przejęcia z przed laty przeszło trzydziestu. Tym niemniej już i wtedy ogrom niezszczęścia spadł na kraj. Wówczas, z chwilą założenia Komitetu dowiedziała się Polska, że ma syna, który w imieniu fundamentalnej zasady chrześcijaństwa potrafił „ją całą przygarnąć, otoczyć opieką, za wszystkich przemówić”. Wniósł Książe-Biskup w to dzieło olbrzymie rzecz u nas dość rzadką: wrodzony bardzo duży talent organizacyjny i umiejętność praktycznej pracy, do której potrafił wciągnąć najbardziej wartościowe elementy w kraju. Potrafił też sięgnąć zagranicę, poruszył Amerykę. Zadzierzgnął węzły ścisłej współpracy z Szwajcarią, z Komitetem Pomocy Polakom w Vevey, przede wszystkim z dwoma męzami, stojącymi na najwyższych wyznach społeczeństwa polskiego, z Henrykiem Sienkiewiczem i Ignacym Paderewskim.

Książe-Biskup ożywił całą działalność wielkim swym temperamentem, ponad wszystko zaś uszlachetniał ją mędrością gorącego serca.

To uczucie, płomienne i zupełnie bezpośrednie zarazem, idące wprost od człowieka do człowieka, nie znające i nie uznające granic i barier, które zwykle stawia wielka pozycja i etykieta, jest

Trudno o postać, któraby posiadała w wyższym stopniu to, co Francuzi tak ślicznie nazywają „rayonnement”, promieniowaniem na otoczenie.

Ten wielki chrześcijanin wie, że wielkim ideałem trzeba służyć zawsze, nietylko wtedy, gdy dane nam jest napięcie heroizmu i dokonanie wielkiego czynu. Miłość bliźniego bez zastrzeżeń i bezgraniczną wprost miłość Ojczyzny umie skraplać i przekształcać w każdej chwili w czyn czy w słowo, w tym właśnie momencie danej osobie czy sprawie potrzebna, przyczem Jego własna osoba dla Niego samego żadnej roli nie gra. Ten zupełny brak próżności, tak strasznie rzadki u ludzi w ogóle a rzadko spotykany wśród stojących na świeczniku, to jeszcze jedna nauka, którą nam daje ta niezwykła osobistość.

Inwazja hitlerowska zastała w Krakowie 72-letniego Arcypasterza. Tym razem przewodniczenie akcji ratunkowej było niemożliwe, nietylko dla dygnitarza kościelnego ale dla każdego kapłana, wszelka ingerencja kleru w sprawę nie ściśle kościelne była nie do pomyslenia. Wejście w kontakt z zagranicą było rzeczą wykluczoną, w chwili gdy hermetyczne zamknięcie granic uczyniło z kraju jedno ogromne więzienie, czy obóz koncentracyjny, w którym szalała zbrodnia.

Już w czasie pierwszej wojny światowej okazał wyraźnie głęboką niechęć do Niemców — był przeciwnikiem polityki sprzyjającej państwu „centralnym”, teraz wystąpił wobec okupanta z nieustępliwością, absolutną.

Część Jego djeceji przyłączono do Rzeszy i tam Go nie dopuszczono. Wobec tego prosił w roku 1940 o widzenie się z Generalnym Gubernatorem. Frank wyznaczył „audjencje” na dzień 20 kwietnia, na urodziny Hitlera, na godzinę w której przyjmował na Wawelu życzenia dygnitarzy niemieckich, składanych na jego ręce dia Fuehrera. Metropolita mu krótko odpisał, że jest zmuszony rezygnować z rozmowy, ze względu na dzień i godzinę wyznaczoną.

Później, gdy zaarrestowano wielu członków kuryi metropolitalnej, napisał list odręczny do naczelnych władz Gestapo. Pismo to stwierdzało, że Arcybiskup zdaje sobie jasno sprawę, iż mnożące się aresztowania wśród księży Jego najbliższego otoczenia, skierowane są przeciwko Niemu, że zaś nie rozumie, dlaczego w takim razie nie aresztuje się Jego, i że wobec tego proponuje, aby Go uwężiono, a księża zwolniono. Skutek był ten, że szereg księży wyszło wówczas z więzienia. Metropolity nikt nie tknął. Miało się nieraz wrażenie, że się Go Niemcy poprostu bali. Żył w świecie, do którego nie mieli jakos dostępu. Srodki ich Jego się nie imaly. Inwigilowali Go zato najściślej — dręczyli pośrednio jak mogli. Drażniły ich też ci gło owa-cje, które Mu gotowała publiczność, gdziekolwiek się pokazywał. Wytómaczono im, że jest to „Landessitte” obyczaj taki w Polsce, że wierni głośno krzyczą, gdy się pokazuje biskup. Wydaje się, że Niemcy w to uwierzyli.

A Polacy wiedzieli, że Metropolita jest, że myśli o nich, że czuwa nad nimi. Każde przypadkowe spotkanie Go na ulicach starego Krakowa, sam widok tej sylwetki sztywnej, niewysokiej, zawsze z młodzieńczą prawie szybkością spieszcej, — kapelan grubo młodszy nadążał z trudem — było nowym źródłem siły. Każda rozmowa zaś, podczas której spoczywało na rozmówcy niesłychanie silne, wprost orle spojrzenie bardzo czarnych oczu, sprawiała, i radę i pokrzepienie i poczucie własnej małości i nowego zobowazania wobec Sprawy, której ten wielki Polak tak umie służyć.

Dzisiaj, gdy Głowa Kościoła długi, ofiarą, i ciężką służbę wynagradza najwyższą godnością purpury, i tym samym nakładła nań nowe zadania i nowe obowiązki, wznosimy ku Stwórcy modlitwę gorącą, aby świetlana postać Tęgo, który się stał „sercem krwią spływającej, pożoga zniszczonej Polski” długie jeszcze, bardzo długie lata, mogła stać na straży chrześcijańskiej Ojczyzny.

\*\*\*

Adam Stefan Sapieha syn Adama i Jadwigi z Sanguszków, urodził się w Krasiczynie dnia 14 maja 1867 r. Uczęszczał do Seminarium duchownego w Innsbrucku; tam uzyskał stopień doktora teologii. Święcenia kapłańskie przyjął we Lwowie, dnia 10 października 1893. W roku 1895 był prefektem Seminarium Lwowskiego, później został jego wice-rektorem. W r. 1897 zdał w Rzymie doktorat praw, w 1902 został kanonikiem katedry lwowskiej. W 1905 r. przenosi się do Rzymu, jako cameriere secreto partecipante papieski. Tutaj, w roku 1911 wyświęcił Go Papież Pius X na biskupa, dla objęcia prastarej księgo-biskupiej stolicy Krakowskiej. Przy nowej organizacji kościelnej, diecezja ta w r. 1925 została podniesiona do rzędu archidiecezji metropolitalnych.

### TAK WYSOKI LOT...

...Tak wysoki lot, że oddechu nie starczy i kabiłak serca boleśnie zgłęty drży.  
Cóż Ci powiem Boże, gdy jeszcze Twe słowa we mnie warczą jak ptowe, potężne lwy?

Spiewam i gram, gram i spiewam i nie wotam już „gniewne usta odszpuntuj”.  
Trysnęła moja mowa jak fontanna, jak gortca ulewa miłością, a nie huczącym buntem...

Maria Petry

## Szukamy Boga w obozie

(Ze wspomnień)

Człowiek w obozie koncentracyjnym w Niemczech stanął, przed tak potwornym złem, jakie mogło wyleć się jedynie w mózgu szatana. Otoczony został zgrają ludzi, których trudno nazwać ludźmi. Trudno nazwać zwierzętami. Boć najbardziej krwiożercze zwierzę nie morduje przecież nigdy dla samej przyjemności mordowania. To nie byli więc ludzie-zwierzęta, nie ludzie-potwory, lecz chyba pomiot szatana. Sam Nietzsche, który urósł w dogmacie hitlerizmu na proroka, prekursora i duchowego ojca nacjonal-socjalizmu niemieckiego, przezwiał ongiś swych współzomków „die blonde Bestie”. Określenie to może było najtrafniejsze. „Płowa bestia” rozszalała się bez granic, stworzyła swoją etykę zbrodni, syciła się nią, zdawała się żłopać krew ludzką z niewystowioną rozkoszą, przeżywała wynaturzone dreszcze erotyczne na widok konajcego człowieka u swych nóg, popadała w histeryczną ekstazę, ślina się w kłach ust, a oczy, te straszne, zimne, szare oczy gorzały takim samym zimnym płomieniem, jakim płonęły oczy węża pod zwrotnikiem, gdy ich spojrzeniem obezwładnia swą ofiarę.

Takie pojęcia jak Bóg, Matka, człowiek — nie istniały dla tamtych płowych bestyj. Istniał tylko na miejscu Boga — Fuehrer, a najwyższym dobrem — powolne unicestwienie człowieka, który w pojęciu hitlerizmu był wrogiem czy przeskoda.

Człowiek w obozie stanął przerażony na widok tych zbrodni. Był zmuszony patrzeć codziennie na rozpętane bestialstwo, stawał się sam jego ofiarą. W żaden sposób nie mógł pojąć i zrozumieć jego istoty. Truchlał na widok dokonanej zbrodni, kamieniał w osłupieniu, czuł się zniecałkowany wyrzucenym z utartych kolein myślenia i uczucia, znalazł się w położeniu zaszczutego na śmierć drobnego zwierzęcia, widział się ze wszech stron osaczonym niedobitkiem ludzkości. Nic więc dziwnego, że jego osłupienie i jego przerażenie i ten straszny, potworny, upokarzający strach myśli jego kształtował od nowa w rozpaczliwe pytanie, czy jest Bóg, czy nie ma Boga?...

— Jest Bóg, czy nie ma Boga? — pytał nie tylko siebie, lecz pytał swoich kolegów, obłąkany tym pytaniem, obłąkany wszystkim, co w koło siebie spotykał. Cały jego bowiem dotychczasowy świat, w którego środku był Bóg, zostaj zniecałkowany, przemieniony w jakiegoś ponure cmentarzysko, po prostu rozwiany w nicność. Człowiek w obozie w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, czy wogóle może być Bóg, a jeżeli jest, dlaczego pozwala na tak wielką zbrodnię.

Koleżdy jego konali, dobijani pałkami przez „esmanów” i „kapów”, konali pod ich butami, po prostu zdychali jak psy bezdomne, parszywe pod ścianami baraków, w zawsonych barłogach, wieszali się w przystępie ostatniej rozpacz, szli lub czołgali się w ostatnim wysiłku na druty kolczaste, naładowane prądem elektrycznym, czołgali się pod linię ostrzału strażników, charczeli w agonii, czepiali rozpaczliwie życia, które już nie było życiem, lecz powolnym zdychaniem, przemieniali się w rozdeptane robaki, cuchnęli i gnijęli za życia i umierali śmiercią odartą zupełnie z majestatu śmierci, śmiercią tak splugawioną i tak podłą, że nie można już było znaleźć w języku ludzkim słowa na jej określenie.

— Jest więc Bóg, czy nie ma Boga? — pytali przerażeni, a nie mogąc znikąd otrzymać odpowiedzi, wierzyli, że nie ma Boga.

— Nie ma Boga! — krzykali dotknięci sz-

lenstwem. — Nie ma Boga, bo gdyby był, nie dozwoliliby na te zbrodnie!...

To było pierwsze załamanie, gwałtowne i bolesne.

Trwało ono krótko. Człowiek w obozie stawał się teraz podobny do kogoś, który stoczył się z jakiejś wyżyny, stracony gwałtownie, i teraz leży na dnie przepaści i długo nie może przyjsć do siebie. Wszystko po drodze zginęło, pozostał tylko jedynie instynkt samozachowawczy, instynkt odruchowy i podświadomy, kierowany już nie myślą i sercem, lecz zwierzęcym pragnieniem trzymania się tej resztki życia.

Obydwa okresy, okres buntu i okres najgłębszego załamania, trwały nie długo.

Dla kogo były zbyt mocne, nie wytrzymał i sam odbierał sobie życie lub sam szukał śmierci. Tych jednak nie było wielu.

Nastąpił teraz trzeci okres, okres najdłuższy, jego reakcja zupełnie zrozumiała. Był to okres pełen patosu. Patoz był ukryty i jakby niezłotny, a jednak tak wspaniały i tak mocno związany z życiem, że porównać można go chyba do patosu, towarzyszącego człowiekowi w pierwszych dniach chrześcijaństwa.

Oto człowiek w obozie jakoby już oswoił się z codziennym widokiem zła, przywykł do niego i uważał, że trzeba się z nim tymczasowo pogodzić, znieść koło siebie, lecz równocześnie musi zrozumieć jego przyczynę i istotę, przede wszystkim musi wiedzieć, dlaczego ono istnieje.

Człowiek w obozie stawał się bezwiednie metafizykiem, irracjonalistą, poszukiwaczem Boga. Jął powoli, w wysiłkiem formułować swoje myśli, układał je w zrozumiałe znaczenie, skupiał je i przemieniał jakoby w cętki kamień, którym pragnie ciskać w sklepienie niebieskie.

### POCHWAŁA MIŁOŚCI

z św. Pawła Apostoła listu I. do Koryntian

*Choćbym znał wszystkie języki ziem i po anielsku grzmiał niebieską chwałę ale miłości nie miał — między brzęczącą się stalą, brzęczącym cymbałem...*

*Dar choćbym w sobie prociwa nosił i wszystkie poznał mądrości i choćbym wiarą góry przenosił ale miłości nie miał — to nicóż jestem nicości.*

*I choćbym wszystko co mam, co mi drogie, na chleby i na zboże oddał ubogim, choćbym i ciało moje wydał tak iżbym gorzał, ale miłości nie miał nic mi to nie pomoże.*

*Miłość sprawa cierpliwa. Łaskawość sprawiedliwa. Prawem rożnię — nie lewem i nie unosi się gniewem, od nieprawości się dzieli i z prawdy się weseli.*

*We wszystko wierzy i wszystko znosi, nadzieję mierzy nad czas się podnosi.*

*Chociaż wiedza przemienie, choć prorocтво upłynie,*

— Jest więc Bóg, czy Go nie ma? — pytał się znowu, lecz już teraz czynił to nie w gorczce obłądki, lecz na zimno, spokojnie, z wyrachowaniem. A ponieważ sam nie mógł znaleźć odpowiedzi na owo pytanie, szukał tych kolegów, którzyby zdołali dać mu odpowiedź.

Jęły się więc tworzyć grupy i grupki, jęły się skupiać na odludziach, siadali w krąg i słuchali pilnie tego, kto umiał im powiedzieć, że jest Bóg. Lecz nie wierzyli mu na słowo. Tam ten ktoś — a był to najczęściej upatrzony przez nich ksiądz, zastugujący w ich mniemaniu na najwięcej zaufania i wiary, — dokładnie musiał więc tłumaczyć. Czynniono to w różny sposób. Jednym poszukiwaczom Boga wystarczyło natchnione, mocne słowo, innym — a tych może było więcej — trzeba było wszystko rozumowo dowodzić. Długo, uparcie, bez znużenia. Tamci słuchali i kręcili głowami z powątpiewaniem. Nie chcieli wierzyć. Wysypywały się przeróżne myśli, nieufne i podejrzliwe, ostrożne i chytre. A dlaczego tak, a czemu nie tak? A przecież ja wiem, że to temu tak, a ty mówisz, że inaczej? A przecież to i tamto?...

Snuły się więc rozmowy i zajadłe dysputy, słuchacze zaperzali się i usiłowali zwalczyć argumenty swego nauczyciela, wadzili się z nim o każde słowo, o każde pojęcie, handlowali, targowali zawzięcie o tego Boga, którego tak namiętnie szukali, a udawali, że im tak bardzo nie zależy na tym, zmuszali swego nauczyciela do wypowiedzenia takiego słowa, które by ich narzeczcie poraziło i nawróciło, jak Szawła.

Trafił się ktoś, biegły we wszystkich tajnikach wiedzy teologicznej. I jął się wtedy popisywać swoją mądrością. Wówczas mu przerywano:

*choć znikną wyspy i kraje — a miłość nie ustanie.*

*Cząstkami tylko wiemy, w częściach prorokujemy, a gdy nadejdzie doskonałość ustanie cząstka i małość.*

*Kiedy maleńki byłem po dziecinnemu myślałem, po dziecinnemu mówiłem, jak dziecko rozumiałem...*

*I przyszedł na mnie męski wiek i odrzuciłem wszystko dziecinnie. Poprzez zwierciadło, w zagadce,*

*widzimy tajemnic bieg. Nie takie to — i nie inne. Lecz przyjdzie czas, że twarzą w twarz — teraz w utamku oglądamy — lecz przyjdzie czas, że wszystko znasz tak jak sam jesteś poznany...*

*A jest ich troje, mówię wam: Wiara, Nadzieja i Miłość.*

*I stoję o nie. Bo Wara — trwa, Nadzieja — płonie, ale największa z nich MIŁOŚĆ.*

Bronisław Przyłuski

## Wśród Polaków w Indiach

Pomoc War Relief Services-NCWC w Indiach zapoczątkowano już w chwili przybycia pierwszych transportów uchodźstwa polskiego i dzieci ewakuowanych z ZSSR do Indii, po przejściu przez Persję — w roku 1943.

Akeją pomocy War Relief Services kierował wówczas Arcybiskup Bombaju J. E. Ks. Roberts, wielki przyjaciel Polaków, otrzymując fundusze wprost z Ameryki.

Fundusze przesłane w tym początkowym okresie przez WRS-NCWC do Indii, oddały wielkie usługi uchodźstwu polskiemu; były one — jak czytamy obecnie w nadesłanych sprawozdaniach — pomocą w tym czasie wprost opatrnościową.

Spośród wielu potrzeb, które domagały się jaknajszybszej realizacji, na pierwsze miejsce wysuwała się kwestia zorganizowania szpitala polskiego w Bombaju. W krótkim stosunkowo czasie, bowiem w połowie 1944 r. powstał w Bombaju Szpital Polski. Wzorowo zarządzony i prowadzony Szpital obejmuje 40 łóżek. Szpital prowadzi naczelny lekarz z ramienia P. C. K., a oprócz tego honorowo, ordynuje tam 17 lekarzy

miejscowych; są to specjaliści i wybitne powagi naukowe. Dzięki ich pomocy, w szpitalu dokonano licznych i bardzo skomplikowanych operacji.

Do szpitala są kierowani poważnie chorzy uchodźcy ze wszystkich ośrodków w Indiach.

WRS pospieszył również z pomocą organizującym się kursom prac ręcznych w ośrodkach i szpitalach (zakup wely, narzędzi), szkołom, gimnazjum, Związkiowi harserskiemu na zakup sprzętu itd. Pokazna kwota, przekazana Konsulowi Generalnemu R. P. umożliwiła zakup podarków i urządzenie pierwszej na wolności gwiazdki dla dzieci, a sierot w szczególności.

Placówki WRS istnieją we wszystkich ośrodkach uchodźstwa polskiego w Indiach. Okres ich zakładania przypadł na początek roku 1944. Pierwsza świetlica WRS-NCWC powstaje w polskim osiedlu JAMNAGAR. Jest to obóz dzieci polskich, dużo jest sierot, które straciły swych rodziców w Rosji. Powstaje na miejscu szkoła polska, do której uczęszcza 264 dzieci oraz przedszkole, dla 11 dzieci w wieku przedszkolnym. Obóz posiada kaplicę i szpitalik. Wszyscy mieszkańcy obozu zostali ulokowani w barakach murowanych z kamienia.

Wnętrza domostw zostały urządzone przez same dzieci bardzo sympatycznie. Kuchnia jest wspólna, żywienia dobre.

O przyjaznym ustosunkowaniu się ludności hinduskiej do uchodźców najlepiej 'świadczy powiedzenie Maharadży Jamnagaru Jam Saheb'a. który wyraził się, że „wasze dzieci już nie są sierotami, gdyż ja jestem ich ojcem”. Interesując się żywo obozem, odwiedza go często i szczególną troską otacza młodzież.

Świetlica WRS w KARACHI (obóz przejściowy, mieszczący stale ponad 1000 osób) oddaje uchodźstwu usługi i w niej koncentruje się życie w wolnych chwilach. Uchodźstwo nasze wybudowało dla swego osiedla kaplicę z własnych składek i przy pomocy wojsk angielskich i amerykańskich, które dostarczyły materiałów budowlanych.

KALHAPUR — ośrodek mieszczący około 5000 osób jest największym skupiskiem Polaków w Indiach. Administracja Osiedla — miasteczka — spoczywa w rękach Polaków.

Kościół w Osiedlu został zbudowany ze składek uchodźców.

Uchodźcy mieszkają tu w barakach z podbudową kamienną, których ściany stanowią maty bambusowe. Rodziny

— Proszę nam tylko nie szufladkować tego Boga i rozkładać Go, jak jakiś złożony przedmiot. Nic mnie nie obchodzi, co mówił o Nim ten Ojciec Kościoła czy tamten, ten scholastyk czy inny, ja tylko chcę wiedzieć, czy jest Bóg, czy Go nie ma! Waszej mądrości nie potrzebujemy!... — mawiali twardo.

W końcu rozchodzili się z przeświadczeniem, że jednak jest Bóg.

Tylko jak pogodzić Boga, jako synonim miłości, z tym wszystkim, co naokoło jest zaprzeczeniem Jego.

— Proszę mi powiedzieć, ja mogę wierzyć w Boga i modlić się do Niego:... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, kiedy ja nie chcę, kiedy ja nie, mogę odpuścić tamtym!... Jak to pogodzić jedno z drugim?... Proszę nam wytłumaczyć!

I rozpoczęły się znowu długie, bardzo długie dysputy, targowania, wadzenia się o każde słowo, nalegania, usiłowania, by dojść do zrozumienia istoty zła i dobra, jakiegoś analitycznego dociekania, rozczepiania włosa na czworo, rozważania, a gdy zdawało się że już, ale to już jesteśmy u kresu, zniecałkowany wybuchł z tłumy twardy protest:

— Lecz kiedy ja nie mogę przebaczyć. Ojca mi zamordowali, matkę mi zamordowali, siostrę... Nie, nie mogę!...

Tak się złożyło, że w naszym obozie było dużo księży. Wyszukiwano tych o najczystszych głowach i o najbardziej ludzkich sercach. Nie chodziło w tym wypadku o mądrość, nabyte z grubych ksiąg, lecz o tę mądrość serca, którą daje wiara i życie. Gdy takiego zdołano wyłowić, przypierano go dosłownie do ściany baraku, czy do parkanu i zmuszano do mówienia. A nawet nie zmuszano, bo tamten człowiek sam szukał owych „poszukiwaczy Boga”. A gdy jego uczniowie wydobyli od niego wszystko, szli do następnego. I zadawali mu to samo pytanie. A potem do trzeciego. Do czwartego nie było potrzeba już chodzić, bo przekonywali się, że wszyscy mówią to samo. „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego!...”

— Ha, nie ma rady! — wzdychali ciężko. — Trzeba będzie więc miłować. Lecz jak to uczynić?... Jak zdusić w sobie pragnienie zemsty!... Pierona jasnego, jak to uczynić?...

Nazajutrz zaczęła się dysputa od początku. I znowu padały takie pojęcia, jak zemsta, pomsta, sprawiedliwość ludzka, sprawiedliwość Boska, i znów wszyscy słuchali nienasyconie i znowu wszyscy kiwali głowami i zastanawiali się głęboko, patrzyli w swoje serca i znowu z przykrym zdumieniem spostrzegli, że w tym sercu jeszcze tkwi pragnienie zemsty.

Człowiek w obozie liczył już miesiące, potem tygodnie, a w końcu dni, dzielące go od wolności. Prawie co dnia i co noc leciały nad nami eskadry bombowców i ciskały w pobliże Monachium ogień i śmierć. A Monachium płonęło po nocach, jak olbrzymia żagiew, ścianami baraków zaś potrzasał coraz gęstszy huk eksplozji i łomot kruszonych murów. Niebo zaś płynęło coraz krwawszą łuną.

Stałem przy oknie i patrzyłem w tamto piekło. Obok mnie stał najgorliwszy „poszukiwacz Boga”.

— Widzisz? — zapytał zniecałkowany.

— Widzę!

— Teraz już wierzę, że jest Bóg!... — rzekł cicho.

— Dlaczego teraz dopiero wierzysz?

— Widzisz? — i wskazał na łunę. — Teraz tamtych sięga już sprawiedliwość ludzka i sprawiedliwość Boga, a mnie... a mnie jest ich teraz za!... —

Gustaw Morcinek.